Nr. 14. Poznań, dnia 1. Kwietnia 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

O STANOWISKU PRAWNEM KOBIETY

napisał

J. N.

Ze strachem i drżeniem wypisałem tytuł powyższy. Mówić o kobiecie!... o téj istocie, nad analizą moralną któréj, tyle się piór zużyło napróżno, tyle dzielnych umysłów zrobiło fiasco! Kto kiedy określił kobietę, kto odgadł tajemnicę jéj duszy i serca, kto nieprzesadził pochlebstwem lub niesprawiedliwością nie zgrzeszył?... Anioł lub szatan, często jedno i drugie razem, słaba a silna, roskosz świata, a razem przyczyna jego boleści, zaparcie wszelkiéj logiki, a jednakże typ harmonii i piękna, kobieta była, jest i pozostanie zagadką, problematem, tajemnicą chodzącą. Zaledwie jasnowidzący wzrok poetów odkrył dotąd tę lub ową formułę ich istoty; filozofowie, myśliciele, krytycy, niemogąc sobie z nią dać rady, pomijali je chętnie, wykręcali się z trudności pogardliwym uśmiechem, lub pogardliwszem jeszcze milczeniem.

Niemyślę też bynajmniéj tutaj próbować nawet tego, co się tylu innym nie udało, niemyślę, do tylu i tylu paradoxalnych określeń dodawać nowych, chcę tylko krótko i pobieżnie, jak na to ramy pisma pozwalają, spojrzeć na znaczenie kobiety w społeczeństwie, na historyę rozwoju jéj praw, na jéj przyszłe stanowisko w cywilizowanym świecie. Kwestya ta zdaje się być na czasie, bo jednym z zaszczytów naszego stulecia jest to, że zaczyna kobietę pojmować na seryo, uznawać jéj prawa, stawiać ją na równi z resztą ludzi nie jako wyjątek, ale na podstawie ogólnie uznanéj zasady.

Czém kobieta być może i powinna w oczach prawodawcy i myślicieli?... Niczém innem jak człowiekiem oczywiście. Niższość jéj fizyczna i moralna w obec mężczyzny, jest albo fikcyjną tylko, albo wynagrodzona innemi przymiotami, któremi nad panem swoim góruje. Jeżeli siły jéj nie wyrównywają siłom męzkim, z drugiéj strony ich zręczność różnicę tę równoważy. I siły te fizyczne jednak, tam, gdzie są wyrobione, często starczą za męzkie, czego dowodem dzikie ludy, gdzie na kobietach cięży cała praca ciężka, lub nawet wsie nasze, gdzie kobieta tyle prawie co mężczyzna zrobi i zarobi. Zresztą w miarę gdy para i inne siły natury zastępują ludzkie wysilenia, w miarę, gdy człowiek coraz bardziéj staje się tylko regulatorem tych sił naturalnych, przewaga fizyczna traci coraz bardziéj na znaczeniu.

Kobieta nie idzie pod karabin, nie może być żołnierzem, czyli inaczéj niezdatna jest na maszynę do zabijania ludzi... Ale za to kobieta ludzi rodzi, co jest rzeczą ważniejszą dla państwa, i pożyteczniejszą dla ludzkości, i nawet do wykonania trudniejszą.

Umysłowi kobiet zarzucają nieudolność wzniesienia się na te wyżyny, na jakich królował geniusz męzki, nieumiejętność uogólniania szczegółów i układania w system rozproszonych idei. Brak na to dowodów, bo stanowisko i wychowanie kobiet było takiem, że wzniesieniu się takiemu kładło nieprzełamane przeszkody. Tymczasem doświadczenie szkół amerykańskich uczy, że kobiety więcéj jeszcze od mężczyzn okazują zdolności do nauk ścisłych, mianowicie

matematycznych. Gdyby zaś tak nawet było, to jakiemiż to skarbami bystrości, dowcipu, delikatności uczucia, okupuje kobieta tę mniemaną niższość swoją?...

Kobieta więc jest człowiekiem, innym jak mężczyzna, ale równym mu zupełnie, a wpływ jéj na społeczeństwo olbrzymi. Wystawmy sobie na chwilę świat, kraj, choćby miasto bez kobiet... Pomijam już tu kwestyę mnożenia się ludzi; dajmy na to że wychodzą oni gotowi, w lakierach i kapeluszach z pod ziemi jak muchary... ale zobaczmy postać tego zakątka ziemi bez kobiet... Brrr... co za nudy, jaki barbaryzm, jakie brutalstwo... Widzieliście kiedy knajpę pełną dymu, woni piwa i zaduszonego powietrza... Wydrzeć drugiemu worek choćby z życiem, wydarty przegrać i przepić, oto możliwe zajęcie mieszkańców męzkiego miasta. Wszystko co jest w życiu pięknem, wykwintnem, delikatnem, wszystkie bicia serca, wszystkie roskosze domowego ogniska zawdzięczamy kobiecie. Wpływ jéj zły czy dobry wyciska na życiu mężczyzny piętno niezatarte, nadaje mu charakter, wlewa weń dramatyczność, słowem, zwierzęcą wegetacyę zamienia na prawdziwe, rzeczywiste życie...

Wychowanie matki, wpływ jéj na późniejsze koleje człowieka, wrażenie jakie na nim robi pierwsze z kobietą spotkanie, los jaki znajdzie w pożyciu domowem, wszystko to są potężne czynniki służące do wytworzenia indywiduów, a przez nie społeczeństwa całego.

A jednak ta kobieta, ta rodzicielka ludzi, ta istota tak wpływowa, tak stanowczo oddziaływająca na rozwój społeczeństwa i cywilizacyi, ta zresztą męczennica cierpiąca zarówno z swym mężem, bratem lub ojcem, nad ogólnemi nieszczęściami, od siedemdziesięciu wieków traktowana jest jak coś niższego, jak niewolnica, jak narzędzie roskoszy, w najlepszym razie jak dziecko...

I im bardziéj zagłębiać się zechcemy w zamgloną przeszłość, tém znajdziemy położenie kobiety smutniejszém; im naród bardziéj barbarzyński tém więcéj mężczyzna znęca się nad kobietą i tak być musi. Dziki Irokener, prawie zwierzę, ceni tylko siłę swéj pięści, i dla tego orze swoją żoną, która mu się oprzeć niemoże, i na jéj barki zwala cały ciężar w wędrówkach swoich.

Natomiast w miarę wzrostu cywilizacyi, w miarę rozbłyskania się bożego światła, położenie kobiety staje się coraz znośniejszem. Najdzielniejszy to argument przeciwko tym, co kobiecie zarzucają drugorzędne w społeczeństwie miejsce, co najrozumniejszą niewiastę stawiają w obec prawa niżéj od ciemnego Bartka lub Maćka.

Historya tego powolnego wyzwolenia kobiety, idąca trop w trop, a raczéj równolegle z ewolucyami cywilizacyi ludzkiéj, jest tak ciekawa, naucząjąca i pocieszająca zarazem, że ją tutaj choć w krótkości postaram się skreślić.

Na całym Wschodzie w prastaréj, do dziś dnia zaskorupiałéj Azyi, kobieta od najdawniejszych czasów jest niewolnicą i tylko niewolnicą. W Indyach, w Chinach, w Judei i wśród innych ludów semickiego pochodzenia wielożeństwo, a więc niewola kwitnie przez całą starożytność aż do dzisiaj. Indyjskie prawa znają ośm rodzajów ślubu, a tylko w jednym z nich dobra wola narzeczonéj jest potrzebną do zawarcia małżeństwa — w siedmiu innych jest to po prostu kupno i nic więcéj. Wprawdzie Indyanin z licznych żon swoich wybierał jedną tylko jako pierwszą, ale smutnym rezultatem tego zaszczytu było to, że się spalić była winna na stosie męża. Prawo indyjskie prócz tego wyłącza córki od spadku nawet wtedy, gdy synów niema, a indyjska Vedu zawsze o kobietach z pewną pogardliwością się wyraża.

W Chinach los kobiet mało był i jest znośniejszym. I tam mąż kupuje sobie żony, i kupuje ich tyle, ile mu się podoba, i na ile mu starczy, ale tam wybór niedozwolony, i najpierw przyjęta żona, jest pierwszą i praw pani domu używa. Natomiast Chińczyk ma aż siedem powodów dla których żonę wypędzić może, a między niemi są n. p. tak nieokreślone jak: szczebiotliwość, gdy jest zazdrością lub podejrzeniem miotany, gdy do żony czuje wstręt nieprzezwyciężony. Oczywiście że takie powody pozwalają mężowi robić co mu się podoba — a co gorzéj, że wypędzona od męża żona cały swój zapracowany kapitał zostawia mężowi, a nadto, bracia jéj mogą ją sprzedać jak niewolnicę. I w Chinach jednak zwolna prawo to nieco złagodniało, i naród ten par excellence prozaiczny zdobył się na istnie poetyczną ustawę, zakazując rozwodu w trzech wypadkach: jeżeli żona trzy lata pielęgnowała rodziców męża, jeśli szczęście w dom wniosła i jeśli jest sierotą. Jednakże i tu kobieta jest towarem tylko, za który pieniądze biorą rodzice lub bracia, i nie dziedziczy ani po ojcu ani po mężu.

Żydowskie prawodawstwo, jakby natchnione przeczuciem chrystyanizmu względniejszém jest nieco dla kobiety. I tu wprawdzie wielożeństwo jest dupuszczoném, a jego ograniczenie do liczby czterech żon, niełamie zasady, ani nieprzeszkadza Izraelitom mieć całe haremy służebnic; i tu także mąż samowolnie może oddalić żonę, ale są tu już ślady pewnéj opieki przed samowolą. I tak mąż, któryby zaraz po ślubie zhańbił niesłusznie żonę fałszywym zarzutem, musiał ją do śmierci zatrzymać i rodzicom jéj pewną karę pieniężną zapłacić. Prócz tego po śmierci męża i ojca niedziedziczące córki i ich matki otrzymywały z jego majątku utrzymanie, od czego nawet ubóstwo uwolnić nie mogło, bo Biblia nakazywała raczéj żebrać mężom, jak zostawiać biedne kobiety bez chleba i dachu.

Na zasadzie tych pojęć i Mahomet określał takie stanowisko kobiety. Ale Mahomet żył już w kilkaset lat po Chrystusie, i zarówno wpływ chrześcijanizmu, jak same życie proroka, który sławę swą, powodzenie i jedyne chwile szczęścia kobietom zawdzięczał, złagodziły nieco położenie mahometańskiéj niewiasty. Jest ona i wedle koranu istotą niepełną, ale przecież przyznaje im nieśmiertelność, bo czwartą część nieba dla Hurysek przeznacza. Kobieta jest towarem, niewolnicą, zamkniętą w haremie, ale dziedziczy połowę majątku męża lub ojca jeśli synów niema. Na koniec Mahomet wprowadza nową na wschodzie zasadę, dozwalającą kobiecie wynajmować się na pewien czas. Wstrętna to wedle naszych pojęć zasada, jest przecież początkiem usamowładnienia kobiety, która tym sposobem odzyskuje prawo rozrządzania sobą.

Skoro jednak przekroczymy Bosfor, i staniemy na kra-

wędzi tego półwyspu, który światu dał cywilizacyę, spotykamy natychmiast zmianę stanowczą. Grecy byli niezawodnie przybyszami z Azyi, ale pod tém niebem łagodném, na téj klasycznéj ziemi piękności i harmonii, wszystko się zmieniało jak za dotknięciem różczki czarodziejskiéj. Już cała Grecya walczy za porwaną Helenę, już Agamemnon obiecuje Achillesowi posag wraz z córką. Jakoż, jakkolwiek uważana tylko niejako za maszynę do dawania państwu obywateli, greczynka, jest przecież już żoną i to żoną jedyną. Tylko jéj dzieci praw obywatelskich używają. Nie jest towarem, bo ona właśnie wnosi posag mężowi i otrzymuje oprawę, nie jest niewolnicą bo może żądać rozwodu, i wtedy oprawę tę zabiera, posag jednak zostawiając mężowi. Z drugiéj jednak strony córka tylko wtedy dziedziczy po ojcu, jeśli ma syna, jeżeli zaś jest panna musi iść za najbliższego kuzyna po mieczu.

W klasycznéj więc Grecyi kobieta nie jest wschodnią niewolnicą, ale nie jest jeszcze bynajmniéj obywatelką. Że jednak tu się już wyzwolenie zaczyna, to dowodzi mitologia grecka, dowodzą postacie Penelopy, Antygony i tylu innych bohaterek. W moralném choć nie w prawodawczem poczuciu Greków kobieta staje się człowiekiem, a wielki Sokrates, może po wyjściu od Aspazyi powiada „że kobiety wychowaniem dojdą doskonałości męzkiéj i do wszelkiéj czynności zdolne będą.“ Sir Mill Stuart nic innego dziś nie utrzymuje.

W Rzymie wyrosłym z gniazda zbójców, żyjącym siłą i przez siłę, kobieta stoi daleko niżéj jak w Grecyi. Wprawdzie istnieje tu jednożeństwo, i kilkakrotne próby cezarów Antoniusza i Walentyna młodszego by wprowadzić dwużeństwo, zostały bez skutku, niemniéj przecież, kobieta uważaną była jako rzecz, którą można wziąść i porzucić, jako istota potrzebna państwu i obywatelowi, ale nic więcéj. Śluby były rozmaite, przez kupno, przez pożycie, wreszcie ślub wolny. W każdym jednak razie mąż mógł oddalić żonę pod najbłahszym pozorem np. dla tego że wyszła na miasto z odkrytą głową, że rozmawiała potajemnie z wyzwolenicą, że była na igrzyskach bez jego zezwolenia. Sam moralny Cycero dwa razy się rozwiódł, raz żeby wziąść posag większy i długi popłacić, drugi raz, że niby żona cieszyła się ze śmierci ukochanéj jego Tulii. Choć Rzymianie żony swe tytułowali zaszczytnem mianem matek rodzin, lub przynajmniéj matron (co zależało od rodzaju ślubu) w domu jednak kobieta była bez znaczenia i głosu, a w obec prawa niczem.

Kobieta nie dziedziczyła nawet po dzieciach i prócz posagu dobrowolnie przez rodziców danego, niemiała nic. Nie wolno jéj było ręczyć, ani świadczyć w sądzie. Wreszcie miała opiekuna, bez zezwolenia którego, nic jéj robić nie było wolno. Tylko westalki i kobiety mające troje dzieci, lub wyzwolone gdy ich miały czworo zwolnione były z téj opieki i same rządzić się mogły.

Powoli jednak, od wschodu idące nowe światło ziemię oblewało, stary świat pogański padał, nowy na jego wyrastał gruzach. Chrystyanizm w zasadzie zupełnie wyzwolił kobietę, robiąc z niéj rodzicielkę syna Bożego, podnosząc ją wraz z ciałem do nieba. I inaczéj być nie mogło. Religia któréj podstawą miłość i miłosierdzie, nauka która podnosi słabych i nieszczęśliwych, nie mogła zapomnieć o istocie najniesłuszniéj poniżonéj, li tylko z powodu swéj słabości fizycznéj: o kobiecie... W Ewangelii niema ani śladu różnicy między mężem i niewiastą. Kobieta jest pierwszą opiekunką zbawcy świata, kobiety jego przyjaciółkami, na kobiecie niezależnéj Chrystus daje przykład boskiego prawdziwie miłosierdzia, kobiety towarzyszą jego męce, składają do grobu, kobiecie pierwszéj pokazuje on się po zmartwychwstaniu.

Jakkolwiek późniejsi ojcowie kościoła, pod wpływem pojęć rzymskich poddawali niejako kobietę pod władzę i kontrolę mężczyzny, w Ewangelii jednak niema nigdzie ani jednego słowa, któreby podobnego rozróżnienia domyślać się dozwalało.

Bądź co bądź pod ożywczym wpływem dobréj nowiny, zwłaszcza, gdy ta, aż do tronu rzymskich cezarów przenikła, położenie niewiasty polepszać się zaczyna. Bizantyjscy cesarze jak Konstantyn, Justynian i inni podnoszą ją zwolna z niesłusznego upokorzenia. Żona tu już wnosi posag i otrzymuje oprawę, którą w razie rozwodu odbiera. Majątkiem jéj mąż zarządza, ale mu nieruchomości sprzedawać ani zadłużać nie wolno. Matka już jest opiekunką dzieci i zarządczynią ich majątku. Po mężu dziedziczy równie jak on po niéj w braku innych sukcesorów. Tylko wdowy idące powtórnie za mąż prawo pozbawiało i opieki i innych przywilejów. Jednakże emancypacya kobiet takie zrobiła postępy że cesarz Leon pozwolił jéj adoptować dzieci w braku własnych.

Około tego czasu właśnie (wiek V po nr. Chr.) nowy żywioł zmieniając postać Europy i świata wpłynął także potężnie na stanowisko społeczne i prawne kobiety. Żywiołem tym była tak zwana wędrówka narodów, czyli ów sławny nacisk coraz nowych ludów na spruchniały gmach rzymskiego państwa.

Pierwiastkowo u Germanów i wszystkich innych plemion wędrujących, spotykamy prawie równouprawnienie kobiety. Mytologia tych ludów mieści pełno bogiń, w pieśniach ich niewieście postacie działają swobodnie i własnowolnie, a kapłanki i wróżki stoją z kapłanami na równi. I inaczéj być nie mogło, bo kobiety tych ludów towarzyszyły im w obozach, razem z nimi szły do boju, dzieliły trudy i niebezpieczeństwa. Panuje też tu jednożeństwo, wzajemne dary ślubne, i przypuszczenia kobiet do dziedziczenia. Toż samo z małemi gminami spotykamy u innych ludów tamtoczesnych, jak u Lombardów, Gotów i t. d. Dopiero wpływ praw rzymskich i wyrabiający się ustrój feudalny, znowu zniżyły kobietę. Wszędzie z wyjątkiem Neapolu i Portugalii żona nie dziedziczy po mężu, a w Niemczech widzimy prawa salickie wyłączające kobietę od dziedzictwa gruntowego, co w następstwie usunęło ją od tronu we Francyi i Germanii aż do czasu Maryi Teresy. Wszędzie również mąż ma tysiączne sposoby prawem zastrzeżone tyranizowania żony, ona prawie żadnych ku swojéj obronie.

W ogólności prawodawstwo średniowieczne uważa niewiastę za coś podrzędnego, niższego, i zamiast brać słabszą

w opiekę, zdaje ją na łaskę męża, brata lub krewnych po mieczu.

Tak jednak pokrzywdzone przez silniejszych, kobiety inną drogą odpłacają ciemięzcom i barbarzyńskich rabusiów a tyranów gną do swych kolan pięknością, sztuką, zręcznością. I widzimy oto, że gdy prawnie, kobieta jest uciśnioną i znieważoną, społecznie jest ona królową, a grzeczność dla płci pięknéj jest pierwszym przymiotem rycerza. Ta elegancya nieco przesadna może i sentymentalna, była przecież głównym objawem cywilizacyi. Ona pociągnęła za sobą złagodzenie obyczajów i uszlachetnienie dzikich baronów, ona stworzyła minstrelów i tannheuzerów, ona przyśpieszyła epokę odrodzenia.

U nas, w sławiańszczyźnie, a w szczególności w Polsce położenie kobiet zdaje się być lepszem jak na zachodzie. W narodzie rolniczym, spokojnym, rola niewiasty jako matki, żony, towarzyszki i gospodyni musiała być ważną, a wpływ jéj ciągły. Wprawdzie spotykamy ślady wielożeństwa, ale legenda o Wandzie, sąd Libuszy, podanie o żonie Piasta dowodzą, że kobieta u Słowian nawet od tronu, a więc od dziedzictwa odsądzoną niebyła, w braku męzkiego potomstwa. Jakoż w sądzie Jarosława znajdujemy wyraźne dowody, że w braku synów nie kniaź ale córki biorą spadek, ale jeżeli są synowie, to córkom nic się niedostaje. Ten sam sąd jednak przyznaje część spadku żonie po mężu.

W Polsce córki brały czwartą część spuścizny po rodzinach, a małżonkowie dziedziczyli tylko po sobie w razie bezdzietności. Mogli jednak zapisywać sobie dożywocie. Mąż zwykle otrzymywał posag w pieniędzach i zabezpieczał go na swoim majątku, a posag ten w razie jego śmierci lub rozwodu wracał w posiadanie żony. Mąż także zarządzał majątkiem żony i pobierał dochody, ale jeżeli majątek ten był w ziemi to go sprzedawać ani obdłużać nie mógł nawet za zezwoleniem żony. Majątek taki ziemski dany kobiecie tytułem posagu mogli krewni jéj po mieczu odkupić. Oba te prawa są nabujałością feudalnych pojęć, dążących do zachowania ziemi w rodzinie. Demokratyczna szlachta polska odpychała prawa pierworodztwa, prowadzące do aligorchii, ale uległa jednak zwyczajom zachodnim, dając przywiléj mężczyznie. Tylko prawo chełmińskie nieznа różnicy między płciami, i żonie przyznaje prawo do połowy majątku po mężu. W całéj zaś Polsce, gdy mężczyzna żeniący się z mieszczanką podnosi ją do siebie, kobieta idąca za mieszczanina traci swe prawa szlachectwa, równie jak córka dająca się wykradać traci prawa do spadku.

W ogólności, jak z tego przeglądu widzimy los kobiety w Polsce był znośniejszym jak gdzie indziéj, choć dalekim jeszcze od słuszności. Niesprawiedliwość jednak prawa łagodziło w wielu względach uczucie uszanowania i względności. Że w gruncie rzeczy społeczeństwo polskie nie uważało kobiety za coś niższego, na to dowód w wyborze Jadwigi i Anny Jagielonki, a także w instytucyach czterech ordynacyi, z których trzy przeszło po kądzieli na inne rodziny.

Z całéj Sławiańszczyzny zresztą, w jednéj tylko Rosyi napad Tatarów i przyniesione wraz z nimi wyobrażenia wschodnie, pchnęły kobietę prawie w stan niewolnictwa, z którego je dopiero pamiętnym ukazem Piotr Wielki wyprowadził.

Dziś w całém prawie społeczeństwie cywilizowaném prawodawstwo cywilne stawia kobietę na równi z mężczyzną, ale tylko do pewnego stopnia. I tak, córki wszędzie (z wyjątkiem w Rosyi i w angielskich majoratach) przystępują do spadku na równi z braćmi; doszedłszy do pełnoletności lub owdowiałe, a w niektórych krajach jak n. p. w Austryi nawet zamężne kobiety mają prawo rozporządzania swym majątkiem bez żadnéj kontroli. Ale z drugiéj strony prawie wszystkie kodeksa poddają żonę pod władzę męża, niepozwalają kobiecie być ani świadkiem przy akcie urzędowym, ani opiekunką nieletnich, z wyjątkiem własnych dzieci. Gorzej jeszcze stoi kobieta pod względem politycznym. Choć w teoryi uznana za obywatelkę, choć w praktyce ponosząca nie mniejsze od mężczyzny ciężary, bo płaci podatek i daje synów do wojska, niewiasta jednak nie posiada żadnych praw politycznych. Obywatelstwo jéj zależy od obywatelstwa męża, wszystkie karyery administracyjne, prawodawcze i urzędnicze są przed nią zamknięte, w wyborze nawet reprezentantów narodu albo niema wcale głosu, albo go dawać może tylko przez plenipotencyę.

(C. d. n.)

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Pan Ostójski miał jeden zły nałóg którego się sam wstydził — w wolnych od zatrudnień chwilach, gdy nikogo obcego nie było w domu, zapaliwszy cygaro pięciofenigowe, bo takie mu najlepiéj smakowało, usiadł za stołem, dobywał dosyć tłuste już karty i kładł kabałę. Umiał ich różnego rodzaju z dziesięć, była więc pewna rozmaitość w zabawie. Na każdą kabałę, co gorzéj, zamyślał coś — naprzykład czy pszenica porośnie, czy rzepak się nie wysypie? i t. p.

Ale co najgorzéj, jeśli mu kabała nie wypadała, a nikogo w pokoju nie było — bo przy ludziach się tego nie dopuszczał, pozwalał sobie maleńkich licencyi i poprawek ślepego losu. Wyciągał karty więzione ze środka kupki — chował przychodzące nie w porę pod spód; zawsze wtedy tylko, gdy siostra i córka nie patrzały, lub nie uważały. Nad kabałą siedzieć był czasem nawet gotów z uszczerbkiem gospodarstwa… czego się wstydził. Lecz biedny człowiek tyle



Napad Franctinerów na transport bagaży pruskich w Wogezach.

się napracowawszy w życiu miał prawo do zabawienia się czasem kabałą, nikt mu tego za złe nie miał. On tylko sam, czuł że w tém była słabość i przed obcemi krył się nie tylko z kabałą — nawet z kartami.

Zdarzyło się że jakoś przez dni kilka nie można było do kabały się przysiąść, tego więc dnia... z wielkim apetytem dobrał się do szufladki z kartami i począł je żywo rozkładać, zamyśliwszy na to — czy Julianowi da P. Bóg rozum by się do Zosi przybliżył — kładł trzecią kupkę dopiero, gdy drzwi tajemniczo przemknąwszy, spojrzawszy przez nie, po cichu weszła panna Klara.

Spojrzał pobieżnie na nią, trochę mu była w uroczystéj chwili nie na rękę, ale nie wiele go zmięszała, kładł daléj. Stanęła wszakże tak, iż z postawy domyślał się że rozmowę jakąś przyniosła.

„A co?“ spytał.

„Czekam żebyś tę kabałę skończył, bo jest bardzo ważna rzecz... tajemnica... do zobopólnego porozumienia...“ stylizując już nieco rzekła cicho Klara.

„Ja dopiero zaczynam!“ zawołał Ostójski, „więc cóż? kura zniosła szare jajko? Ciele zdechło? co?“

„No, nie obracaj w żarty rzeczy nieznanéj“, uroczyście dodała siostra, „rzeczy ważnéj, wielkiéj, któréj doniosłości umysł twój ani dościga, ani się dorozumiewa.“

„E! do kata! to chyba koń zdechł!“ żartobliwie mruknął Ostójski.

„Jesteś istotnie nielitościwy z tém swém lodowatém szyderstwem — tu idzie o Zosię...“

Ledwie tych słów domówiła, ojciec się zerwał rzucając karty.

„O Zosię? no cóż! gadaj! co!“

„Dajże mi w pewien szyk myśli me złożyć“, rzekła panna Klara.

Ostójski milczał, ale z niecierpliwości bębnił palcami po stole.

„Jest taka rzecz“, mówiła do ucha prawie panna Klara. „Mam swych przyjaciół i życzliwych w pałacu... mam swe ztamtąd wiadomości. Wiem z największą, ale to z największą pewnością“ — zatrzymała się — „młody hrabia szalenie się w Zosi zakochał.“

Ostójski się roześmiał i ramionami ruszył. „No, to co?“

„Jakto? nie przewidujesz następstw? nie widzisz nadciągającéj chmury... morze burz które istnienie nasze zakłócić mogą? Jesteśli obojętnym na losy twego jedynego dziecięcia?“

„Nie — ale bo mów po prostu, jak mówisz do dziewek na folwarku, bo dalibóg zwarjuję!“ zawołał Ostójski — „więc cóż?“

„Ale to jest miłość jak nawałnica gwałtowna... miłość takiego młodzieńca... który...“

„No, który się ożenić nie może i nie zechce, który sobie się podurzy, my się z niego pośmiejemy — i kwita. Pojedzie do Berlina i przy aktorkach zapomni.“

„Ty zawsze z prozaicznéj strony uwzględniasz wszelkie wypadki“, mówiła panna Klara, „lecz ta miłość nie jest przelotną fantazyą nierozważnego młodzieniaszka, on o niéj mówił z matką.“

„To nie może być!“ zawołał Ostójski, „bałamuctwo! tfu!“

„Klnę ci się iż tak jest jakem rzekła... nie bierz lekko bo małem nie jest... ja ci to mówię.“

„Ale cóż tedy począć?“

Panna Klara z politowaniem popatrzyła na brata: „Więc nie wiesz co ci czynić należy? że ta miłość szlachetnego młodziana może do twego domu wnieść zaszczyty, świetną przyszłość — dźwignięcie z poziomego stanu — w jaki nas niesprawiedliwe wtrąciły losy.

„A daj że ty mi pokój z temi losami, ja z mojego poziomego stanu zupełnie jestem zadowolniony — a niech mnie Pan Bóg łaską swą uchowa bym Zosię wydał za takiego coby myślał że jéj łaskę zrobił... Ani o tém chcę słuchać.“

„Lecz spytaj, ojcze niebaczny, serca swego dziecięcia?“ zawołała panna Klara — „a jeśli ono ci powie iż czuje skrzydła do górnego lotu i chce tego szczęścia którego ty cenić nie umiesz?“

„A! ba! Zosia ma nadto rozumu... o tém niema co mówić“, rzekł Ostójski, „Juliana kocha.“

„Tak, a ten niewdzięczności czarnéj pełen człowiek, uwodzi ową włoszkę i potajemny z nią romans prowadzi...“

„On? z włoszką tą, czy cyganką, bo do cyganki podobna!“ zaśmiał się Ostójski... „Byłby głupi!“

„Ona go usidliła...“

Ostójski wciąż się śmiał. „Nie może być — a gdzieżby oczy podział kiedy ma przed sobą Zosię.“

„Zapytaj serca o jego dziwactwa!“ przerwała panna Klara, „ono ci powie iż są tajemnice...“

„Ale ba... ja tam te tajemnice znam; wszelako to chłopak uczciwy i w błoto nie wlezie... no! darmoś mnie nastraszyła...“

„Spełniłam“, rzekła w ostatku uroczyście jeszcze siostra, „co mi nakazywało sumienie, powiedziałam ci, ostrzegłam... czyń co ci dyktuje obowiązek rodzicielski...“

Wpadająca do pokoju Zosia przerwała w porę rozmowę, którą panna Klara z nadzwyczajną zręcznością zwróciła na masło i sery... Zosia uściskała ojca, pocałowała ciotkę, okręciła się po pokoju i siadła do fortepianu zagrać staremu ulubionego poloneza.

Ostójski choć tak obojętnie niby zbył pannę Klarę, mimowoli wszakże zadumał się nad tém co mu powiedziała. Kwaśno mu się zrobiło. Pana dla córki mimo honoru, stanowczo nie chciał, a nużby się istotnie przyczepił. No, rzekł pocieszając się, toćby mu rodzice zabronili, niema sobie czém głowy suszyć!

Przyszło mu jednak na pamięć, że hr. Edmund był już trzy razy na folwarku i w istocie do Zosi się bardzo przysiadał. Stary potrząsł głowę... Zosia jeszcze grała... gdy go zawołano na ganek dla interesu.

W ganku stał Margocki, który wejść nie śmiał, bo był w myśliwskim stroju, ujął tylko po przywitaniu pod rękę Ostójskiego i wprosił się z nim do jego pokoju. Po minie poznać było można że z czémś przybył ważniejszem niż zwykle. Rozpoczęcie rozmowy utwierdziło jeszcze w tém przekonaniu.

„Spodziewam się że Cześnikiewicz (był to tytuł od wielkiego dzwonu) wierzysz mi iż domowi jego szczérze spry-

jam i szacuję go... Niech mnie to tłómaczy iż z bardzo może niespodzianą przychodzę tu przestrogą i radą... Ale naprzód, kochany Cześnikiewicz, dasz mi uroczyste słowo szlacheckie, że mnie nie wydasz i nie zdradzisz w żadnym razie..."

„Panie dobrodzieju", zawołał Ostójski, „uczciwy człowiek jestem i w to się nie bawię."

„Bo mi o was idzie", rzekł Margocki przystępując do niego z wielkiemi ostrożnościami i oglądaniami na wszystkie strony. „Mówię otwarcie .. Mam wielki szacunek i wdzięczność dla domu moich hrabiów, ale — co prawda to prawda. Życzę im dobrze, wszelako... no! zrozumiesz, gdy ci powiem, Cześnikiewiczu kochany, że nasz hrabia Edmund pokochał się w córce waszéj, pannie Zofii."

Spojrzał na Ostójskiego, ten stał jak słup milczący, tylko palce, złożywszy ręce na piersiach, okręcał wedle zwyczaju... słuchał.

„Z tego nic być nie może, trzeba ich znać jak ja znam, ale dla panienki", mówił daléj Margocki, „rzecz nieprzyjemna... Ludzkie języki ze wszystkiego umieją czernidło wyssać."

Zatrzymał się powtóre, Ostójski stał i dumał.

„No — co wy na to?"

„Proszęż was, szanowny panie, co ja tu mam na to powiedzieć? i co począć? Mnie i jéj to do niczego... a znowu nie jestem z tych coby dali z siebie robić zabawkę..."

„Więc, cóż."

„Więc, przestaniemy bywać w pałacu."

„Myślicie że on tu was nie dogoni?" zapytał Margocki. „Oszalał jak młokos."

„Juściż mu drzwi zamknąć nie mogę."

„Tak", odparł Margocki, „ale — nie zdradzcie mnie tylko — wszak macie gdzie pewnie krewnych? czyż byście dokąd wyjechać nie mogli."

Ostójski pomyślał.

„To zdrowa i przyjacielska rada", rzekł, „ale kiedy już tak pozwalasz z sobą mówić otwarcie — powiem ja co mi podróż utrudni. Moja Zosia... moja Zosia... no, przecież w tém złego niema nic, z młodości ma przywiązanie do Juliana... On tu rzadko do nas zawita, właśnie przyjechał... nie zechce się jéj teraz — odbiedz ztąd, i byłoby jéj przykro. Ja przyczyny zmuszającéj do wyjazdu powiedzieć nie mogę, ona nie zechce jechać, a dalipan jak się uprze to na swoim postawi. To moje dziecko jedyne i ona u mnie — pani."

Margocki się uśmiechnął. „Ta miłość dla pana Juliana to wątły kwiatek wiosenny. Czyż panna Zofia nie widzi że on się bierze do włoszki i nie odstępuje jéj na krok?"

„Dalibóg bym wyjechał", rzekł Ostójski, „byle ją jak ztąd wyciągnąć... A, jak ono jest to jest", dodał podając rękę Margockiemu, „za przestrogę wam serdecznie dziękuję. Z duszy, z duszy..."

Rzuciwszy to ziarno z którego się spodziewał że cóś urosnąć musi, plenipotent zakręcił się, wziął za czapkę i pożegnawszy gospodarza, który go na ganek przeprowadził, odjechał.

Zachmurzony Ostójski wyszedł gdy go zawołano do wieczerzy, ręce w kieszeniach, głowa spuszczona, krokiem powolnym jak był zwykł, gdy co miał na sercu.

Zosia właśnie rozdawała krupniczek, ale nie było ich przy stole tylko dwoje, bo p. Klara rozchorowawszy się na głowę i przewiązawszy ją w szafranie farbowaną chusteczką co jéj zawsze pomagało — została w swoim pokoju.

„Co to ojcu jest?" zapytało dziewcze podając mu wódkę i zakąskę.

„Nic mi nie jest... tylkom głupi", rzekł wzdychając Ostójski, „tylkom głupi."

Zamilkli, córka patrzała nań jak w tęczę. „Niech no mi tatko powie, to mu lżéj będzie... trzeba co jest złego z siebie wyrzucić..."

„Kiedy bo to — ani złe, ani dobre... tylko... tylko głupie", dodał Ostójski wzdychając.

„Ale cóż to jest?"

„Bałamuctwo!..." Zamilkł znowu, poprobował jeść krupnik, który zwykle jadał, nie smakował mu, ukąsił chleba i tego przełknąć nie mógł, siadł i palce okręcał sumując.

„Czy to jaki sekret?" spytała Zosia.

„Sekret, o którym wróble na dachu śpiewają", rzekł Ostójski.

„A ja niewiem!" mruknęła Zosia.

„E! dalipan, mnie się widzi że i ty to wiesz, tylko pewnie jak ja, nie robisz z tego sobie wielkich rzeczy."

„Nie mogę zgadnąć", dodała Zosia.

„Nie łam sobie głowy — głupstwo!" powtórzył Ostójski.

Podano kaszkę sypką, Ostójski wziął na talerz, skosztował i łyżkę położył. „Jeść czegoś nie mogę."

„Bo byś się tatko wyspowiadał przedemną i — i było by ci zaraz lżéj, ja bym coś może poradziła!"

„Ty?"

„Ja."

„No, proszę... ty... do rady!"

„I bardzo!" roześmiała się Zosia.

Ostójski odstawił talerz, poszedł po swoje karty i zamiast wieczerzę jeść, począł kabałę kłaść. Zosia przestała pytać, ale pomagała do ulubionéj zabawki.

„Powiedz ty mnie Zosiu", zawołał nagle Ostójski, „czyś ty nie postrzegła że to paniątko, hr. Edmund słodkie oczki do ciebie robi?"

„Jakżebym ja, kobieta, nie postrzegła tego?" uśmiechnęła się Zosia. „Gdyby to nie od tatka, pogniewać by się można za samo pytanie.

Cześnikiewicz zaczął się śmiać.

„Cóż ty na to? hę?"

„A! ojcze kochany — chyba ze mnie żartujesz i tém drugiem pytaniem. On się bawi, ja się nim bawię, i na tém koniec... któżby brał na seryo wzdychania takiéj ekscelencyi!"

„Masz słuszność! ale bo nie wiesz może, iż ludzie już o tém gadają."

„Niech sobie plotą."

„I — żeby ci to nie szkodziło?"

„Cóż mnie szkodzić może, że kochają się we mnie, gdybym ja się kochała, byłabym płocha — to co innego..."

„No — a gdyby cud się stał i ów panicz... ów panicz,

przyszły dziedzic kluczów, zamków, wsi, folwarków, zaszłapał tak żeby się oświadczył o Zośkę?“

„Zośka by się pokłoniła grzecznie, za honor podziękowała i powiedziała by mu: Niegodnam abyś wstąpił do przybytku serca mego... Bywaj pan zdrów...“

Ostójski śmiał się aż mu się brzuch trząsł, odsunął kabałę i w chwili gdy zimną kaszkę miano zabierać, namyślił się.

„Stój, czekaj — będę jadł! apetyt mi powrócił.“

Chłopak wyszedł. Cześnikiewicz był już w najwyśmienitszym humorze.

„Jednak, wiesz co, Zośko“, rzekł, „ja sobie myślę że dla niego i dla nas lepiéj by było gdybyśmy mu z oczów zeszli i tak... gdzieś... wycieczkę sobie zrobili.“

Zosia głową potrzęsła.

„Mój tatku, pomyślałby że my się go ulękli. Przytém ja do podróży nie mam ochoty najmniejszéj. — To sobie przejdzie.“

„Jak chcesz... jak chcesz... Ale ludzie plotą że to niby bardzo seryo.“

Dziewczę ruszyło ramionami.

„Ja jestem dziecko i świata nie znam“, odezwała się, ale wiem że hrabiowie tacy na seryo się nie kochają. Bałabym się niepotrzebnie w biednym, ubogim, osamotnionym człowieku obudzić pasyę... ale w takim hrabi!!“

Ostójski pociągnął na tę intencyę kabałę i na tém się skończyło.

(C. d. n.)

ŁZY.

DUMKA.

O szczęśliwi którzy płaczą,
Piersiom lżéj i duszy lżéj!
Ja pielgrzymkę mą z rozpaczą
Bez pociechy pędzę téj;
Wziąłeś Boże nawet sny,
Daj mi za nie, daj choć łzy!

Wicher mnie jak orlę z gniazda
Strącił w przepaść z bratnich gór,
A orlica jako gwiazda
Zawisnęła, patrzy z chmur:
Niema syna! wkoło mgły —
Boże! jednéj, jednéj łzy!

Tęskno, obco mi przed okiem,
Ból zapiera w piersi dech;
Żałość mnie odziała mrokiem,
Jako stare gruzy mech,
A przeczucie zwiastun zły
Dręczy, — Boże, jednéj łzy!

Wszakże Boże! ja nie proszę
O blask, roskosz siódmych nieb,
O łzę błagam, niechaj zroszę
Łzami gorzki, obcy chléb!
Z męstwem ścierpię krzyże twe,
Ale jedną daj mi łzę!

K. Brzozowski.

PAMIĘTNIK

FRYDERYKA HR. SKARBKA.

(Dokończenie.)

Jakkolwiek mógłbym był zająć jakie wyższe stanowisko w stosunkach politycznych i urzędowych, nie nastręczyła się żadna sposobność odznaczenia się w tym zawodzie, a to głównie dla tego, że zawsze należałem do tych ludzi, którzy nie umieją być niewolnikami ani panującéj władzy, ani stronnictw politycznych opozycyę stanowiących. Z doświadczenia własnego mogę utrzymywać, że człowiek, który chce się swojem własnem zdaniem rządzić, i czuje tyle niepodległości że się bezwarunkowo ani władzy, ani opinii panującéj nie poddaje, nie zdoła uzyskać ani znaczenia urzędowego, ani popularności, i że taki powinien przygotować się na to, że imię jego ani w jednéj, ani w drugiéj sferze, do rzędu znakomitości politycznych policzonem nie zostanie. W początkach téj pamiętnéj epoki wśród któréj cesarz Aleksander czynił na narodzie naszym niebezpieczne próby liberalizmu, zająłem się całą dobrodusznością młodego serca, namiętnie do ojczyzny przywiązanego, tą tak zwodniczą, a tyle powabną dążnością rządu, lecz nigdy nie myślałem o tém, aby przez przesadzone żądania ze strony ludu, należało wyprowadzić ją z kolei umiarkowania, i życzyć narodowi swobody i wolności z jakich oświeceńsze kraje korzystać nie miały. Dla tego, raziła mnie w naszych pismach politycznych, w pierwszych latach Królestwa wydawanych, niedorzeczna dążność przefrancuziania naszych stosunków politycznych, i ogłaszania zasad opozycyi konstytucyjnéj za czasów restauracyi we Francyi przyjętych. Należałem wprawdzie do redakcyi Orła białego, który się tą dążnością odznaczał, ale wszystkie artykuły moje miały głównie miejscowość i polskie potrzeby na widoku. Nie mogłem także podzielać przekonania o potrzebie i użyteczności towarzystw tajnych, jako zagraniczna zaraza między nami zaszczepionych, które z początku miały tylko na celu utrzymanie i krzewienie ducha narodowego, a w końcu dołączyły do tego dążność zupełnie sprawie Polskiéj przeciwną, dążność do owéj rewolucyi socyalnéj na zasadach demagogii opartéj, która z poświęceniem dobra i indywidyualności narodu, coraz się bar-

dziéj rozwijała, aż nas do zagłady doprowadziła. Nie było bez tego abym przez zwolenników tych zasad nie był kuszony do należenia do towarzystw tajnych i tylko przezorności mojéj winien to jestem, iż nie uległem smutnemu losowi, który bezowocnie, tylu ziomków w nieszczęśliwe ofiary źle zrozumiałego patryotyzmu zamienił. Już w roku 1820 rozgałęziło się w kraju tajemne towarzystwo trójek, w którem się tylko trzy osoby znały, to jest że każdy uczestnik miał ojca t. j. tego co przysposobił, i syna t. j. tego którego on do towarzystwa wciągnie. Udzielono i mnie wiadomość o tym związku, alem nigdy ani żadnego rozkazu od mego ojca nie otrzymał, ani nawet słyszał czy ten związek cośkolwiek działał i dokonał. Niebezpieczniéj dla mnie wciągniony zostałem w r. 1826 czy 27 w jakiś związek narodowy na gminy podzielony, którego uczestnicy zbierali się u naczelnika tak zwanéj gminy, dawali składki pieniężne, przysięgali ale nie podpisywali i żadnego piśmiennego śladu zebrań lub czynności swoich nie zostawiali. Byłem dwa razy na takiem zebraniu, ale nie mogłem upatrzeć żadnego użytecznego celu w tém stowarzyszeniu, a przewidując niebezpieczeństwo w uczestniczeniu w niem, wycofałem się nie uczęszczając na zebrania i nie opłacając składek; pomimo to jednak, gdy wielka sprawa Sołtyka, Krzyżanowskiego i innych mających stosunki ze spiskowemi Petersburgskiemi wytoczoną została, powołany zostałem przed komitet badawczy oddzielnie do téj sprawy postanowiony, ale na to tylko aby mi oświadczono: iż lubo są ślady że miałem daleki udział w tajemnym związku, wyznanie moje od wszelkiéj uwalnia mię odpowiedzialności. A to wyznanie było uczynione za poradą tego samego co mnie wciągnął do tego stowarzyszenia, i który będąc już osadzony w więzieniu u Karmelitów, znalazł sposobność uprzedzić mnie, abym w deklaracyi jaką odemnie żądano, wyraźnie oświadczył że on mnie do związku wciągnął. Gdyby nie to tak wyraźne upoważnienie, byłbym zostawał w nader trudnem położeniu, bo lubo nie należałem do niczego, dosyć żem wiedział o sekretnym związku, a za to mógłbym już być więziony a nigdybym nie był się przyznał do téj wiadomości, aby nie zdradzić tych, których przekonania bynajmniéj nie dzieliłem.

Lubo ani w postępowaniu mojém, ani w pismach i naukach w uniwersytecie wykładanych, nie było nic takiego, coby mnie do rzędu przesadzonych liberalistów a tém mniéj do zagorzalców politycznych liczyć kazało; nie znalazłem wszakże łaski i względności u rządu i uchodziłem u niego za niedosyć przychylnego, dla tego żem nie chwalił co pochwały godném nie było, i żem otwarcie wynurzał zdanie tam, gdzie tylko uległości a nie opinii żądano. Zatém poszło iż pomimo życzenia mego należenia do reprezentacyi narodowéj, odmówione mi zostało przez Namiestnika Zajączka po dwa razy pozwolenie starania się o wybór na posła na sejm. Mniemam że i to się przyczyniało do niekorzystnego mniemania o mnie ze strony rządu, iż wiadomem było że posiadałem wielką miłość u uczniów uniwersyteckich, którzy stanowili najważniejszy przedmiot dozoru i podejrzenia rządowego. — Przy jednéj okoliczności doznałem wszakże szczególnéj względności Zajączka, pomimo że się wtenczas właśnie ta przychylność akademików jawnie względem mnie okazała.

Staszic ów Prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk i zarazem Minister Stanu, który cały swój majątek zakładom dobroczynnym poświęcił, był przy końcu życia swego przedmiotem uwielbienia publiczności a zwłaszcza téż młodzieży akademickiéj, lubo zasady jego, jako urzędnika więcéj się przechylały ku samowładności jak ku liberalizmowi. Pogrzeb jego obrany został przez akademików jako powód wielkiéj owacyi, i był pewnem tryumfalnem poniesieniem go do grobu. Złożony w prostéj drewnianéj trumnie w sieni gmachu Towarzystwa Przyjaciół nauk, zkąd go członkowie na barkach swoich wynieśli, w krótce wyręczyli ich akademicy którzy nie dozwolili złożyć trumnę na karawan, ani wziąść ją na barki przez rzemieślników o to zgłaszających się, lecz ponieśli ją wśród tłumu kilkudziesiąt tysięcy pospólstwa, aż do Bielan, gdzie Staszic pochowanym być pragnął. Dawna moja zażyłość ze Staszicem, jego poświęcenie się zupełne dobru ludzkości i cnoty któremi się odznaczył, natchnęły mnie do wymownego pożegnania zwłok jego w samym kościele Bielańskim. Po skończonéj mowie, która wielki zapał między akademikami wzbudziła, wyniesiony zostałem przez nich, przy ciągłem i kolejnem uściskaniu po nad głowami wszystkich i stałem się przedmiotem ich uwagi. Nie była to okoliczność ani pożądana, ani miła dla zwierzchności, a ja nie powinienem się był spodziewać pobłażania za mowę zbyt może żywą; jakoż Cenzor Szaniawski, nie chciał pozwolić ogłoszenia jéj drukiem. Tymczasem gdym się od téj decyzyi odwołał wprost do Namiestnika Zajączka, ten który zawsze wysoko cenił cnoty i zasługi Staszica, rozkazał aby mowa była bez żadnéj zmiany drukowaną. Mało miałem w życiu mojem chwil tak świetnego powodzenia, jak ten dzień pogrzebu tyle dla mnie pamiętnego.

Od Października r. 1819 do tegoż miesiąca r. 1830 lat 11 życia mego, a od 26 do 37 lat wieku przepędziłem wśród naukowego zajęcia, w ciągłem postępie i udoskonaleniu własnem, a to jeszcze w najświetniejszéj i najszczęśliwszéj epoce naszego bytu narodowego, w któréj wszystko zapowiadało pomyślność i usposobienie się narodu do życia politycznego. W tych błogich latach ogłosiłem drukiem dzieła ekonomiczne zwyż wspomniane, i pisma humorystyczne i powieści, które mi wziętość w literaturze wówczas zjednały i oprócz tego dostarczyłem teatrom warszawskim kilkanaście komedyi, dram i mniejszych sztuczek z powodzeniem długo przedstawianych. Moje czynności naukowe dzieliły się między uniwersytetem i Towarzystwem Przyjaciół Nauk, w którego domu 8 lat mieszkałem mając sobie powierzony nadzór nad biblioteką i muzeami Towarzystwa. Prócz tego byłem członkiem najwyższéj Komisyi Egzaminacyjnéj przy Radzie Stanu ustanowionéj i egzaminowałem urzędników administracyjnych. Towarzystwo Przyjaciół Nauk dzieliło się na dwa działy, Nauk i umiejętności, z których jeden na przemian co tydzień odbywał posiedzenie naukowe; co miesiąc zaś bywały sesye centralne połączonych wydziałów a raz na rok posiedzenie publiczne. Na wszystkich tych posiedzeniach bywałem, a Roczniki Towarzystwa świadczą o udziale, jaki miałem w jego pracach nau-

kowych. Z rozpraw jakie czytałem na posiedzeniach publicznych najwięcéj miała powodzenia pochwała Ks. Adama Czartoryskiego, generała Ziem Podolskich. W uniwersytecie prócz codziennych prelekcyi bywały także posiedzenia publiczne przy zamknięciu kursów, na których rozpoznawano wartość konkursowych rozpraw uczniów i czytano rozprawy i na tych posiedzeniach kilka razy czytałem wypracowania moje. Po skończonych prelekcyach wyjeżdżałem na dwumiesięczne wakacye do mojéj ulubionéj wioski Orły, a czasem odbywałem podróże za granicę.

Pierwszą taką podróż odbyłem w r. 1820 do Gdańska, podczas gdy żona moja była u wód. Drugą dwa lata późniéj z Szubertem za roślinami jadącym do Wrocławia i Drezna. Dwa lub trzy razy byłem u wód, raz w Kudowie dla żony mojéj, a następnie do Warmbrun. Lecz największą i najważniejszą dla mnie podróż odbyłem w r. 1828 z polecenia rządu w zamiarze zwiedzenia zakładów dobroczynnych i więzień, która to podróż stanowczy wpływ miała na dążność drugiéj połowy życia mego więcéj urzędowaniu w zawodzie filantropijnym jak naukom poświęconéj. Rzeczywisty powód do odbycia téj podróży, był zamiar wydrukowania w Paryżu dzieła mego: Théorie des Richesses Sociales, którego rękopism od roku już był posłany instytutowi francuzkiemu i tam bezużytecznie leżał, bo się nim nikt zająć, ani zdania o nim, dać nie chciał. Ponieważ zaś zajmowałem się wówczas więzieniami i zapobieżeniu żebractwu, i gdy rząd miał zamiar zaprowadzić zakłady dobroczynne na wzór słynnych wówczas osad dla ubogich w Holandyi, korzystał więc rząd z tego wyjazdu mego i dał mi zlecenie zwiedzenia tych zakładów, za co mi przeznaczył jednorazowy nader szczupły zasiłek 3000 złotych. Z małym przeto funduszem z własnych oszczędności dodanym i z nadzieją, że za dzieło moje cokolwiek dostanę, puściłem się w wielką podróż i zwiedziłem Prusy, Meklemburgskie księstwa, Hamburg, Düsseldorf, z tamtąd Renem Holandyę, następnie Belgię, Paryż gdzie kilka tygodni zabawiłem a za powrotem Monachium, Wiedeń i Kraków. Z podróży téj ogłosiłem drukiem zdanie sprawy, a od rządu otrzymałem w skutku tegoż raportu, urząd Referendarza Stanu i członka Komisyi Spraw Wewnętrznych do części szpitali i więzień. W r. 1830 zwiedził cesarz Mikołaj warszawski szpital i oburzony zaniedbanym ich stanem, wydał rozkaz abym był wysłany do Petersburga dla zwiedzenia tamecznych szpitali, celem urządzenia warszawskich podług tego wzoru. Inna jeszcze okoliczność spowodowała rząd do poruczenia mi téj misyi. Gdy sejm jednomyślnie uchwalił składkę narodową na pomnik dla cesarza Aleksandra I, polecono komisyom rządowym przygotowanie projektu takiego pomnika. Myśl moja otrzymała przed innemi pierwszeństwo; proponowałem bowiem założenie wielkiéj osady dla żebraków i włóczęgów na 1200 ludzi, w dobrach narodowych założyć się mających, a naśladowanych z osad poprawnych holenderskich: przy któréj miała także być osada wysłużonych weteranów polskich, którzy mając sobie wydzielone pola z mieszkaniami, mieli być użyci do pilnowania włóczęgów i żebraków. Trzy kaplice różnych wyznań miały być wzniesione w téj osadzie, a między niemi pomnik dla zmarłego cesarza; projekt był tak dalece przygotowany, iż dobra Garwolińskie miały być przeznaczone na pomieszczenie téj osady. Z tym tedy projektem miałem jechać do Petersburga aby go do zatwierdzenia monarszego przedstawić. Dla tego także mnie się dostało w dziale przeprowadzenie tyle dla ludzkości korzystnych zamiarów, że mi poruczono jako członkowi Rady Stanu przygotować projekt do prawa o włóczęgach i tułaczach, i bronić go w Izbie Poselskiéj. Pamiętną chwilą dla mnie jest ten pierwszy i ostatni raz wystąpienia mego w tejże Izbie jako mówca w obronie własnego projektu, który pomimo że był powszechnie uznany za użyteczny i potrzebny, doznał wielkiéj zrazu opozycyi jedynie tylko z tego powodu, że pochodził od rządu i że się zdawał być targnięciem na wolność osobistą, tym co w tenczas postanowili wszystko atakować i odrzucać co z inicyatywy rządu pochodziło. Miałem przygotowaną mowę na piśmie, ale więcéj dla wprowadzenia projektu jak dla obrony jego, tymczasem inni to jest dwóch Radzców Stanu wprowadzało projekt, a ja miałem go bronić ostatni, i odpierać zarzuty przeciwników jego. Dziewiędziesięciu posłów mówiło przedemną, trzeba było zapisać sobie na prędce ich zarzuty, aby na nie odpowiedzieć, tak iż cała moja przygotowana mowa na nic się nie przydała, i że musiałem improwizować aby odeprzeć zarzuty. Zaiste nader trudne zadanie, które mi się jednak tak łatwo powiodło, iż pomimo złéj wróżby podczas dyskusyi, projekt mój dosyć znaczną większością został przyjęty.

Wszystko to zmieniło powołanie moje, bo z człowieka wyłącznie naukom poświęconego, miałem się stać głównie urzędnikiem i człowiekiem całą zdolność swoją cierpiącéj ludzkości i poprawie moralnéj przewrotnych poświęcić mającym. A podróż moja do Petersburga dokonała téj zmiany w mojém powołaniu, bo tymczasem zaszły okoliczności nieszczęśliwe, które mi odebrały możność dalszego poświęcania się nauczaniu, i jakby nieprzebytą przegrodę między przeszłością a przyszłością moją wzniosły!

POZORY MYLĄ
(ODGRZEWANA POWIASTKA)

napisał

J. Narzymski.

(Dokończenie.)

Herbata i część wieczora minęły wśród rozmowy kulawéj. Zygmunt wysilał się widocznie, żeby udawać wesołego, ja robiłem co mogłem, żeby rozmowę podtrzymać, ale wszystko to było daremnem. Jakaś bolesna tajemnica ciężyła nad umysłem większości towarzystwa, a ja sam niebyłem w stanie ożywić go i rozerwać.

Jakoż skoro tylko przyzwoitość pozwoliła, pani Zosia pożegnała nas, Henryk natychmiast wyniósł się drugiemi drzwiami, a Zygmunt ledwie mnie do mego pokoju odprowadziwszy, pożegnał, spiesząc się widocznie, i oczywiście niespokojny, czy zajęty jakąś myślą bolesną.

Było jeszcze bardzo wcześnie, może w pół do dziesiątéj, księżyc nie świecił, ale mirjady gwiazd rzucały ten blask słaby, mdławy, który niebędąc ciemnością ocala przecież wszystkie jéj tajemnicze uroki. Powietrze było miłe, łagodne, przepełnione tą wonią nieokreśloną, dziwną, wiosenną, co to piersi przepełnia życiem, swobodą, rozkoszą prawie zmysłową.

Zgasiłem lampę i siadłem na balkonie wśród zieleni kwiatów, zakryty niemi, otulony. Myślałem o Zygmuncie, o jego żonie, o jego położenia. I otóż co to jest szczęście na świecie!... Wszak ten człowiek zdawał się być szczęśliwym... miał wszystkie ziemskiego szczęścia warunki wewnętrzne i zewnętrzne, powinien być szczęśliwym... A oto, biedniejszy on może od ostatniego żebraka, wije się może w téj chwili na wygodném łożu w rozpaczy i zazdrości, szarpie pierś swoją niemogąc dojść prawdy!... Wartoż kochać?... wartoż wierzyć?... Czyż wszystko na ziemi nie jest kłamstwem i złudzeniem?... Czy prawdziwe szczęście nie leży w ślepym egoizmie, w drewnianéj suchości serca?... Marzyłem na ten temat długo. Może pół godziny, może godzinę, zapatrzany to w niebo gwiaździste, to w fanastyczne figury, zarysowane przez cień drzew i kląby, na ciemnym tle trawników, lub śnieżystych paskach alei, piaskiem wysypanych.

Z dumań tych wyprowadził mnie szelest kroków ludzkich, szybkich ale ostrożnych. Z drugiego końca ogrodu, od strony oficyn szedł prędko jakiś wysoki człowiek. Przesuwał się nie daleko, mogłem go poznać... był to Henryk. Mignął jak cień, i zniknął w kląbie otaczającym pawilonik szwajcarski.

I oto jeden więcéj dowód, niestety! pomyślałem sobie... Człowiek niezakochany nie spaceruje o tej porze po ogrodzie, zwłaszcza gdy jest praktykantem agronomicznym, i gdy o godzinie 4 rano wstawać musi...

Jeszczem téj reflekcyi nieskończył, gdy drzwi buduaru pani, w drugim końcu domu będącego skrzypnęły, i ze schodów balkonu zbiegła do ogrodu biała postać kobieca. Nie szła ona, ale ślizgała się po żwirowych ścieżkach, a tak cicho i lekko, że nawet piasek pod jéj nóżkami nie skrzypiał. Przebiegając koło moich okien spojrzała w nie... Zobaczyłem twarz jéj... tak to ona!... Zofia... żona Zygmunta!... a na twarzy téj zdawało mi się żem dostrzegł wyraz strachu i przerażenia. Gdzie ona tak biegnie?... ah!... ah! naturalnie do szwajcarskiego pawilonu... tam gdzie poszedł Henryk jéj kochanek.

W serce mię ból uszczypał, i ze złości zacisnąłem pięści... Biedny Zygmuncie!... więc to tak daleko zaszło!... Więc w tém twojém sanctissimum miłosnem odbywają się zdradzieckie shadzki?...

I wszystkie szczegóły dnia ubiegłego stanęły mi przed oczyma jasne i wytłomaczone. Zrozumiałem i spojrzenia Henryka, i rozmowę przy szachach, i wieczorny niepokój winnych... Oczywiście uwodziciel zagroził występnéj, że się zastrzeli, i ona uległa... A jak szybko leciała!... jak wszyscy ci, co do przepaści lecą!... Ale co robić?... Może należałoby przerwać... rozpędzić występnych... może jeszcze czas uratować choć materyalną cnotę nieszczęsnéj kobiety...

Wstałem... ale w téjże chwili, drzwi od sali, wychodzące na ten sam balkon, na którym spędziliśmy popołudnie, otworzyły się z trzaskiem i Zygmunt w szlafroku rozpiętym, bez czapki jak kula zleciał ze sześciu balkonowych schodów, i jak kula pędził téż przy moim balkonie w kierunku nieszczęsnego pawilonu.

Jak błyskawica, stanęła przed oczyma memi straszna katastrofa.

Instynktym prawie porwany skoczyłem z balkonu, i całą siłą przytrzymałem pędzącego Zygmunta.

„Stój! na Boga! nieszczęsny,“ zawołałem prawie z rozpaczą.“

Zygmunt obejrzał się na mnie i ze zdziwieniem a gniewem zawołał...

„A tobie co się znów stało... puść że mnie!...“

„Nie puszczę Zygmuncie!... Ty iść tam nie możesz...“

„Zwaryowałeś!... czy co!“ krzyknął rozgniewany, „puść mnie do trzystu djabłów,“ i szarpnąwszy się gwałtownie popędził w gęstwinę.

Wróciłem na balkon... drżałem jak liść osiki... Włosy mi na głowie stanęły... oddech zatrzymałem w piersiach... Tam, o kilkadziesiąt odemnie kroków, odgrywa się w téj chwili straszny dramat, gorzéj... bo tragedya okropniejsza od Szekspirowskich... rzeczywista... prawdziwa... Tam człowiek uczciwy, prawy, kochający, zobaczy kobietę, któréj życie i honor powierzył, w objęciach innego, przekona się że jéj pocałunki były fałszem, jéj pieszczoty ukąszeniami żmii... Ten człowiek wierzący stanie się ateuszem, to serce kochające rozedrze się i skamienieje, te usta, które dotąd tylko słowa miłości mówiły, rzucać będą przekleństwa same...

I człowiek ten zemści się... musi się zemścić strasznie... szalenie!... Im był lepszym dotąd, im silniéj kochał i wierzył, tém gniew jego będzie okropniejszym, tém straszniejsza zemsta!.. Cały się wcieliłem w ucho, pewny, że lada chwilę usłyszę huk strzału, krzyk wściekłości lub jęk kobiecy...

Ani huku, ani krzyku, ani jęku nie było... owszem panowała cisza, długa cisza...

Potém z kląbu wyszła biała postać kobieca, i powoli, spokojnie wracała do domu... Znów przeszła koło mnie, potém drzwi balkonu skrzypnęły i znikła...

„Co to znaczy?...“ pytałem sam siebie, smażąc mózg mój biedny, „dla czego ona tak spokojnie wraca... co się dzieje z tamtymi dwoma?... Czy Zygmunt ich nieznalazł?... czy może pojedynek amerykański?...“

W téj chwili głośny, znany mi dobrze śmiech Zygmunta przerwał moje kombinacye i jednocześnie dwóch mężczyzn wyszło z ciemnéj gęstwiny i stanęło na otwartem miejscu...

„Ha, ha, ha... biedny Henryku!... to i ciebie to spotkało!... Zbudź Jana i każ sobie samowar nastawić... mnie już lepiéj... Ale Ignacy miał racyę... te truskawki widocznie były niedojrzałe... Niech je djabli... Dobranoc!...“

Uścisnęli się za rękę... Henryk poszedł ku oficynom, Zygmunt zbliżał się do mego balkonu.

Jam widział i słyszał to wszystko... mgła się rozwiała, przejrzałem... zrozumiałem... Wstyd mnie ogarnął, i niewiedziałem jak się wytłomaczyć z zatrzymania Zygmunta. Jednym skokiem byłem w łóżku i nakryłem się kołdrą... Zygmunt wszedł na balkon, ostrożnie zajrzał do pokoju, a zobaczywszy mnie niby śpiącego bąknął...

Ten śpi... ba! nie jadł truskawek... ale co mu się u djabła zrobiło... Czy on czasem nie lunatyk...

Wyszedł na palcach... i ani wspomniał poczciwiec o zaszłym wypadku.

Śmiałem się w duchu ze siebie, i przeklinałem nieszczęsny mój sceptyzm, ale rozmyślając nad szczegółami dnia poprzedniego zawsze jednak nieumiałem wytłomaczyć sobie owéj rozmowy przy szachach...

I to się jednak wyjaśniło... rzekł bowiem do mnie na drugi dzień Zygmunt:

„Widzisz tam Henryka?... Serce się kraje patrząc na tego chłopca... zakochał się w siostrze méj żony, i ona mu sprzyja, ale rodzice nie chcą pozwolić... my z żoną protegujemy naturalnie zakochanych, bo dobrze wiemy jakiém to szczęściem miłość...“

„No,“ myślałem w duchu, „żebym teraz nawet palcem się dotknął nie uwierzę, i nie posądzę kobiety...“

NAPAD FRANCTIRERÓW
na transport bagaży pruskich w Wogezach.

(Z ryciną.)

Załączona rycina przedstawia jedno z małych a częstych zwycięztw, jakie w ostatniéj wojnie wolni strzelcy francuzcy odnosili nad transportowemi oddziałami prusaków. Wóz zarekwirowany przez prusaków dla poczty polowéj przechodził przez most, za którym droga nagle się w bok zwracała. W chwili kiedy wóz most mijał, dały się słyszeć wystrzały; konie przestraszone stanęły w miejscu i z poza mostu wyskoczyli strzelcy chwytając je za cugle. Eskorta towarzysząca transportowi liczebnie była słabszą, i zanim do obrony przygotować się mogła, już kilku z niéj padło ofiarą; w końcu wszyscy ulegli. Takich wypadków w ostatniéj wojnie wiele się zdarzyło — jakkolwiek zwycięztwa drobne nie rozstrzygały wojny, niemniéj jednak utrudniały ją nieprzyjaciołom. Ten rodzaj wojowania, czyli raczéj ciągłego niepokojenia nieprzyjaciół, nam Polakom lepiéj niż innym jest znany. Konfederacya Barska, powstanie z r. 1863, a nawet po części z r. 1831, było prowadzeniem podjazdowéj wojny. W r. 1831 sławna była tak zwana ruchawka w puszczy Białowieskiéj i oddziały trupich główek z Augustowskiego. W r. 1863 ksiądz Maćkiewicz na Żmudzi i Chmieliński w Krakowskiem równie się odznaczyli.

X. X.

Szarada.

Pierwsza jest liczba stoi w trzecim rzędzie,
Pierwsza zaś z trzecią w każdéj chatce wszędzie,
W drugą i trzecią jeżeli kto wpadnie,
Szczęśliw gdy cały spostrzeże się na dnie.
Na wsiach zaś wszędzie znajduje się całe,
Dawniejsze zazwyczaj dzisiaj są za małe.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 13: ***Karabiny.***)

Korespondencye Redakcyi.

Panu L. S. pod Trzemesznem: Chętnie zastosowalibyśmy się do rady jego; ale są trudności nieprzezwyciężone, którym posłuszni być musimy. — Panu Henrykowi M. w Brukselli: Żądane numera równocześnie wysyłamy. Za pomoc i życzliwość dla pisma naszego serdecznie dziękujemy. W tych dniach list Pan otrzyma. — Panu Miłkowskiemu w Brukselli: Dotąd odpowiedzi na list nasz nie otrzymaliśmy. Upraszamy o takową, gdyż czas nagli bardzo. — Pani Penelopie na księżycu: W przyszłym numerze rozpoczniemy powieść naśladowaną z Dickensa, pióra Pani Potworowskiéj. Na ten raz więc nowelka, którą Pani raczyła nam przesłać, jest zbyteczną. Manuskrypt czeka Jéj rozporządzenia. Za życzliwość dla pisma serdeczne podziękowanie. — Panu Muniowi na Prowincyi: Na czas rozmyślań postnych, wstrzymaliśmy się z Gawędami. W krótce jednak znowu stale zamieszczane będą. O bohaterach i bohaterkach z prowincyi pamiętać będziemy. Materyały do Gawęd nadsyłane z prowincyi, pożądane są bardzo. — Panu S. W. pod Inowrocławiem: Szarady zamieszczone nie będą. Manuskrypt jest już zniszczony.

Na Fundusz Konkursowy złożono:

Boniarski 1 tal.; Dr. K. 10 sgr.; K. K. z P. 1 tal.; T. L. 15 sgr.; E. Raczyński z Poznania 1 tal.; Kiełczewski z Michalczy 1 tal. Bieliński 1 tal.; Ludw. Sokolnicki z Pigłowic 1 tal.; Sędzia Niedzielewski 1 tal.; Grabowski Bronisław 1 tal.; Sędzia Sławski 1 tal.; Inżynier Moraczewski 1 tal.; Bronisław Drwęski 1 tal.; Edmund Drwęski 10 sgr.; Śniechota 15 sgr.; Dr. Kremski 1 tal. Razem 22 tal. $2^1/_2$ sgr. Wręczyliśmy Redakcyi Dziennika Poznańskiego od PP. Kukulińskiego 1 tal., Dr. Au 1 rs., Śniegockiego 1 tal., W. H. 1 tal.

Od Wydawnictwa.

Przypominamy Czytelnikom naszym o odnowieniu prenumeraty na kwartał drugi. — Sobótkę prenumerować można we wszyskich księgarniach i król. prusk. urzędach pocztowych; w Galicyi prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie po 1 Złr. 15 centów.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)